



Mirosław Derecki

GŁOWA

Ewie

Naprawdę, rzadko spotyka się miasta, w których podobnie jak w tym byłoby tylu kulturalnych ludzi.

Spośród wielu zainteresowań jego mieszkańców, na pierwsze miejsce wysuwała się sztuka. Każdy miał pod tym względem dużo do powiedzenia. W kawiarni trwały niekończące się dyskusje na temat malarstwa, rzeźby czy literatury. W Filharmonii codziennie odbywały się wielkie koncerty symfoniczne. Miasto wydawało nawet własnym sumptem tygodnik literacki, w którym drukowali najwybitniejsi pisarze kraju.

Mieszkańcy byli czysti i uprzemi, a jednocześnie skromni i weseli.

Miasto miało ulicę. Biegła z północy na południe.

Przy ulicy stał kościół, pod którym siadywała babka cmentarna Kladonia. Wielu bolało nad tym, że babka właściwie nie ma żadnych zainteresowań. Wkrótce zresztą przestano zwracać na nią uwagę. Upłynęło jeszcze trochę czasu, a zupełnie zapomniano o niej.

Przy ulicy stał także sklep z ogromną, lustrzaną szybą wystawową. Odbijało się w niej całe miasto. Także przechodnie często przeglądali się w niej.

Pewnego dnia Arretin szedł ulicą. Po co? Koniecznie chciał przejrzeć się w szybie. Arretinowi od dłuższego czasu rosła głowa. Rosła i bolała. Zwiększała się z dnia na dzień. Początkowo osiągnęła wielkość dyni, później cebra, później...

Zachodziła obawa, że wkrótce stanie się tak wielka jak balia.

Trzeba coś robić, powiedział sobie Arretin i zaczął obwiązywać ją na noc namoczonym ręcznikiem. Mimo to rosła. I bolała. Z trudnością przeciskał się teraz przez drzwi.

Arretin stanął przed szybą i spojrział. Głowa była naprawdę monstualnych rozmiarów. Po prostu nie głowa ale jakaś konew. Wyglądała tak ohydnie, że aż rozplakał się nad swoim nieszczęściem. „Miałem taką ładną głowę i co się z niej zrobiło” - myślał.

Ale wkoło było tak ładnie, wszyscy przechodnie tacy mili, że powoli łzy wyschły i zaczął przypatrywać się temu, co odbijało się w szybie. To było bardzo przyjemne zajęcie. Można stać tak

godzinami i niby oglądać wystawę, a właściwie widzieć jak w kinie wszystko, co się dzieje w mieście.

A było na co patrzeć. Na przykład, tuż za zakrętem ujrzał dwóch panów...

Doktor Verka był słynnym ginekologiem i jednocześnie cenionym znawcą literatury. Lubił łączyć przyjemne z pożytecznym, toteż często przy zabiegach dyskutował z pacjentkami n.t. poezji.

Wielki ginekolog rozmawiał właśnie z mecenasem, przemiłym dystyngowanym staruszkim. Mecenas znał się na malarstwie i muzyce – podobno kiedyś sam grywał na fortepianie. Często podejmował obiady poczynających artystów – plastków i dawał im drobne zapomogi.

Po chwili, do rozmawiających panów dołączył się aptekarz interesujący się hebrajskim, potem jeszcze ktoś i jeszcze ktoś, aż wreszcie utworzyła się spora grupka żywo dyskutujących osób.

Życie w mieście toczyło się normalnym torem. W oknach domów widać było głowy pochylone nad książkami. W kawiarniach polemizowano. Działka bryła lekcje rysunku albo ćwiczyła gamy i pasaże.

Arretin przyglądał się temu wszystkiemu z zachwytem. Głowa jednak ciągle przypominała o sobie.

Jeszcze raz uważnie obejrzał ją w szybie i zaczął dokładnie obmacywać. Była dość miękka. Może dojrzała czy coś w tym rodzaju?

A może gnije?

Raptem, przy jakimś silniejszym pociągnięciu, głowa skrzypnęła. Przestraszył się, ale że nie bolało, pociągnął silniej. Tym razem dało się słyszeć kilkanaście jakby cmoknięć... i nagle głowa została Arretinowi w ręku. Po prostu oderwała się od tułowia i teraz kołysała się tuż nad ziemią.

Możecie sobie wyobrazić, jak Arretin w pierwszej chwili przestraszył się. Taki numer! Zostać nagle bez głowy ! Można całkiem zgłupieć.

Ale Arretin nie był narwańcem, więc zaczął się zastanawiać. Pomyślał, że chyba nie myśli głową, która kołysze się w ręce... A jeśli nawet myśli nią, to jak może widzieć, że się kołysze kiedy patrząc jej oczyma powinien raczej zobaczyć swoje bezgłowe ciało. Czyli jest w tym jakaś zagadka – pomyślał jeszcze i już zypełnie się uspokoił. A może myśli szyją? Zaczął jednak macać nad szyją. Namacał głowę. Aha, właśnie głowę. Na razie nic z tego nie zrozumiał, ale strasznie się ucieszył.

Spojrzał w szybę. Miał po prostu drugą głowę. I to jaką! Ha! Ho! Tyle, że jeszcze bardzo delikatną. Nic innego pomyślał Arretin, tylko w tej zewnętrznej głowie była druga i jak dojrzała, to się wykluła.

Strasznie, ale to strasznie, cieszył się Arretin z racji tej głowy. Oglądał ją i podziwiał bez końca...

Nagle poczuł, że musi wszystkim opowiedzieć o swoim szczęściu. Znowu spojrzał w szybę,

żeby przekonać się, czy pan doktor i pan mecenas i wszyscy stoją jeszcze na ulicy. I teraz to dopiero naprawdę się zdziwił i przestraszył...

W szybie nie było widać ani ulicy ani kościoła, ani pana mecenasa, ani nikogo. Wszystko znikło. Nawet niebo. No, może niezupełnie, ale nie było błękitne i słoneczne jak zwykle, tylko szare, jednostajne, bez jednego obłoku, bez jednego ptaka.

To niebo schodziło się na horyzoncie z olbrzymią, brudno-zieloną płaszczyzną ciągnącą się całymi kilometrami wzdłuż i na boki. Właściwie to nie była jednolita płaszczyzna, tylko jakby setki olbrzymich tarasów zupełnie pustych. Każdy taras przechodził w wyższy za pośrednictwem schodów. Schody były tak szerokie, że biegły w prawo i w lewo aż poza zasięg wzroku. Po tarasach i schodach poruszały się powoli, rytmicznie, jakies stalowoszare postacie. Było ich wszędzie pełno. Na horyzoncie były ledwie widocznymi pełzającymi punkcikami. Im bliżej, tym były większe i wyraźniejsze. Wszystkie jednocześnie wykonywały te same ruchy. Wydawały przy tym lekki zgrzyt, jakby żelazo tarło o żelazo. Były czymś w rodzaju automatów. Automaty miały kształty ludzkie. Tyle że bardzo kanciaste. Wykonane były z żelaza.

Właśnie to żelazo tak zgrzytnęło...

Ruszały się i ruszały bez końca. Od tego jednostajnego ruchu ciała płaszczyzna zdawała się kołysać we wszystkie strony.

Nagle zgrzyt ustał. Postacie stanęły i powoli wyciągnęły prawe ręce, wskazując nimi Arretina. Wyglądało, jakby brały udział w jakiejś ogromnej gimnastyce. Po chwili tarasy znów zakolysały się. Znowu jednostajnie zagrzytało. Teraz wszystkie automaty szły w kierunku Arretina. Stał jakby w środku olbrzymiego koła, po którego promieniach zbliżały się.

Arretin czekał co zrobią. Bał się. Nawet bardzo się bał, ale co mógł poradzić?

Dwa idące na przedzie automaty niosły pustą żelazną powłokę. Arretin przyjrzał się im i nagle uświadomił sobie, że to doktor Verka i mecenas. Ale co za zmiana...

Znowu wszystko stanęło. Na całej równinie stały promieniście ustawione automaty. Nagle zadudnił jakby z setek megafonów płynący głos. A bebe be a brum brum brum. A brum brum brum a bra bra bra. Arretin natychmiast poznał ten głos. To aptekarz mówił po hebrajsku. Zrozumiał nawet, co aptekarz powiedział. Znaczyło to – Włącz w pancerz.

- Kiedy ja nie chcę! - wrzasnął Arretin – nie chcę i koniec. Przestańcie się wygłupiać!

- Ale nie usłyszał własnego głosu...

Mimo to wrywał się, bo dr Verka i mecenas pakowali go do środka.

- Mój Boże – westchnęła stara babka cmentarna Kladonia – jaki z niego głupiec!

Pierwodruk: „Kamena”, 1958, nr 14, s. 7-8.